

AFRODYTA
I JEJ CÓRKI

WITOLD
TURANT
AFRODYTA
I JEJ CÓRKI

Z ZAPISKÓW DOMNIEMANEGO... PTYSIA ALOJZEGO



proza
Katowice 2024

Opracowanie graficzne:

Marek J. Piwko

Redakcja

Małgorzata Szewczyk

Korekta:

Zespół

Skład i łamanie:

Katarzyna Dziubała

© Copyright by Witold Turant, Katowice 2024

© Copyright by „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2024

ISBN 978-83-8183-208-3

ISBN (e-book) 978-83-8183-209-0



KATOWICE

Miasto Ogrodów

Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Wydawca:

„Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe

ul. Podgórna 4, 40-026 Katowice,

tel. (032) 25-80-756

e-mail: sekretariat@slaskwn.com.pl

www.slaskwn.com.pl

Katowice, Okoniny Nadjeziorne,
Górki Wielkie, Kraków, Paryż
2010–2017

Część I.

Bardzo młode i nie całkiem młode lata

Rozdział 1.

Afrodyta z Rue Mouffetard

Jej babkę rznął ponoć sam Hemingway. Musiała wtedy mieć z piętnaście lat, może mniej, i była czarna jak węgiel. Nie to jednak jest w tej opowieści najważniejsze. Babka odeszła w mroki historii wraz z wielkimi tego świata, dla których była paryską atrakcją. Dla niektórych jedną z wielu. Dla innych tą główną i najważniejszą. I to któryś z nich pozostawił matkę Afrodyty jako pamiątkę szalonych nocy na Lewym Brzegu – słynnym La Rive Gauche.

Matka Afrodyty to była kawa z mlekiem i z migdałami. Migdałami były oczy, w których głębi utonął pewien malarz z Polski. Wychodzi więc na to, że Afrodyta jest pół Polką, jeśli oczywiście jej rodzicielem był ów malarz. Jeśli nie, to nic nie szkodzi. Malarz był człowiekiem szarmanckim i niepraktycznym. Robił, jak to się mówi, niebotyczną karierę, ale korzyści z tego były niewielkie. – Mam to w dupie – powiedział i zapraszał na nocne szaleństwo, zakończone rajdem po lupanarach, tych renomowanych i tych niekoniecznie renomowanych, większość darmozjadów z Mt. Parnasse. – Mam to w dupie – powtarzała z akcentem na ostatnie „e” matka Afrodyty. Z akcentem i z wielkim upodobaniem, albowiem język polski ją wyraźnie fascynował. – Mam to w dupie!!! – krzyczała z okna pewnej niedzieli małeńka Afrodyta na całą rue Mouffetard, gdyż odmówiono jej przejażdżki statkiem po Sekwanie. – Poczekaj dziecko jeszcze kilka lat, a życzenie twoje z pewnością się spełni – odkrzyknął jej wąsaty grenadier w berecie z orzełkiem, który obsługiwał katarzynkę na pobliskim placu.

Ponadto malarz był niezwykle szarmancki. – Ma pani wspaniale genitalia. – Łasił się do jakiegoś półkurwia z wyższej sfery, chcąc babę naciągnąć na pozowanie. Szło mu o biust, ale jego francuszczyzna wciąż cierpiała na pewien niedostatek. Mówił często rano, patrząc na matkę Afrodyty prężącą się nago w pościeli, grasejując z wdziękiem, albowiem był on arystokratą: – Ależ moja dhoga, twoja uhoda jest absolutnie i pohażająco kuhewska. Mam nadzieję, że mała odziedziczy ją po tobie. – Matka Afrodyty wiedziała, że uroda miała być królewska, ale i to, co usłyszała sprawiało jej przyjemność. No bo jeśli jako kurwa zasłużyła sobie na



przydomek „królowej Mt. Parnasse”, to w czym problem. A z Polakami tak już jest, że myślą jedno, a mówią co innego. Zwłaszcza po francusku.

Po kilku latach malarz wyniósł się na Lazurowe Wybrzeże, tłumacząc, że Lewy Brzeg skręca, jak dla niego, za bardzo w lewo. – Akurat – spointowała to mama Afrodyty. – Nabrał apetytu na tamtejsze dziwki. Jak wyssa z niego wszystkie soki – wróci.

Niestety myliła się, ale tylko w drugiej części swego prorocтва. Nie wrócił. Zmarł w podeszłym wieku, podbijając przedtem Południe. Był jak St. Tropez czy Antibes. Obowiązkowy. Jeśli byłeś na Południu, a nie widziałeś jego wystawy i nie wypiełeś z nim szklaneczki wina, to nie byłeś na żadnym Południu. O jego śmierci wszystkie liczące się gazety pisały na pierwszej stronie. Dziwki i bajzelmamy były niepokieszone. Złożyły się na ogromny nekrolog w „Nice Matin” podpisany „przyjaciółki i przyjaciele”, ale guzik im to pomogło. Kilka z nich podobno, gdy powiał mistral, odebrało sobie życie, ale myślę, iż ta wiadomość jest mocno przesadzona. Pewna madame, której apartamenty zamieszkiwał w ostatnim okresie swego życia, zdążyła go jeszcze zaciągnąć do notariusza, bo do kościoła ani do urzędu stanu cywilnego jej się nie udało, gdzie w jakimś ataku bezrozumnej i karygodnej trzeźwości zapisał jej prawa do niesprzedanych obrazów. Jej i Afrodycie.

Kiedy spotkałem Afrodytę, była niespełna dwudziestoletnią panną, nieprzyzwoicie bogatą, właścicielką kilku domów w okolicach Malmaison, robiącą z zamiłowania i dla przyjemności to, co jej matka i babka i robiły dla pieniędzy, choć przyznajmy otwarcie, nie zawsze z twardej konieczności. Inna rzecz, że dla rozwiązłości seksualnej przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był tym, czym XIII wiek dla inkwizycji. „Rewolucja seksualna” – tak niektórzy, z pewną oczywiście przesadą, tamten okres nazywali. Ja tam żadnej rewolucji nie widziałem. Spotkałem za to w jej salonie kilka znanych osobistości. Ale, jak mi się wydaje, nie ze wszystkimi sypiała. Nie żeby płeć jej przeszkadzała. Nie wszyscy ją fascynowali do tego stopnia, by miała ich zaprosić do łóżka. W odniesieniu na przykład do pewnego filozofa światowej sławy mawiała, iż mędrzec sprawdza się na uniwersyteckiej katedrze albo w salonie, ale w łóżku co innego jest w cenie i bez żadnych ceremonii wypychała go po kolacji tryskającej szampanem i dowcipem za drzwi, a dyskretną gestykulacją dawała znaki pewnemu początkującemu aktorowi o aparycji boksera, w co należy

wliczyć także złamany nos, by w żadnym wypadku nie opuszczał jej pomieszczenia. Bywało, że zostawał na kilka dni i Afrodyta była wtedy absolutnie niedostępna.

Skąd o tym wiem? Słuszne pytanie. Otóż byłem naocznym świadkiem. A poza tym Afrodyta była szczerą i rzec można po dzisiejszemu, bezpruderyjna. Absolutnie. Skąd się u niej wzięłem? Z Polski, rzecz jasna. Otrzymałem coś w rodzaju stypendium na napisanie kilku szkiców o paryskim okresie życia Norwida. Dlaczego mówię „coś w rodzaju” stypendium? Bo kwota była taka, że gdybym był człowiekiem palącym, wystarczyła by mi na papierosy podczas tygodniowego pobytu. O wyżywieniu ani noclegu w ogóle nie ma co mówić. Na szczęście jednak ludzie w pewnym wieku pozbawieni są kompletnie wyobraźni, za to nie brak im bezczelności i tupetu pomieszanego w jakichś dziwnych proporcjach z naiwnością. Jedni w takiej sytuacji płyną, przynajmniej przez czas jakiś, inni od razu idą na dno. Pewnie dołączyłbym do tych drugich, bo nadmiarem zaradności i tupetu nigdy nie grzeszyłem. Miałem jednak szczęście. Niebawem szczęście. Trafiłem bowiem w sam środek wojny. Co to za szczęście trafić na wojnę – zapytacie. Wszystko zależy, jaka to wojna i czy się trafi na pole minowe, czy do zwycięskiego rydwanu. Mogę śmiało powiedzieć, iż mnie przypadł w udziale los pasażera rydwanu właśnie. I to nie byle jakiego. Szefowa sekretariatu w konsulacie pokłóciła się właśnie na śmierć i życie z pewną panią organizująca pomoc dla rodaków w takiej sytuacji jak moja bądź gorszej, w oparciu zasoby dobroci chrześcijańskiej. Owa pani uważała, iż ktoś tak zdeprawowany, ciemnoskóry i ciemnooki jak Afrodyta nie powinien się w ogóle przyznawać do polskości, a już narzucać się ze swoją pomocą, która oparta jest o środki z „takich” źródeł... Nigdy, przenigdy. Co zatem robi przeciwniczka owego krzyżowca w spódnicy? Natychmiast wysłała mnie niewinnego, jak Józef w Egipcie, prościutko do Malmaison, gdzie trafiam w sam środek burzliwego przyjęcia, niby w ramiona żony Putyfara. Wiele się wówczas dzieje. Pięć razy sprawdzam, czy trafiłem pod dobry adres. Zostaję, mimo imprezowego tornada, przedstawiony gospodyni.

Zostaję wprowadzony pomiędzy ludzi, których nie znam, choć niektórzy nie wyglądają tak całkiem obco. Niewysoki przystojniak kłóci się ostro ze swoją przyjaciółką. Jeszcze nic na to nie wskazuje, ale zakończy tę scysję jako damski bokser. Rozpoznaję w nim super popularnego aktora, na



widok którego moim koleżankom majtki spadłyby same, gdyby, rzecz jasna, zobaczyły go z takiej odległość jak ja, no i dałyby się wychlastać nawet paskiem ze sprzączką; co tam ręką. Niewysoki amerykański Żyd w okularach, grający na klawirze, wodzi rozmarzonym wzrokiem za każdą pojawiającą się dziewczyną, pod warunkiem, że nie przekroczyła dwudziestki i cechuje ją wzrost koszykarki. Wysoki facet z bokobrodami jak bankier z powieści Dickensa w uchylonych drzwiach toalety kiwa na początkującą gwiazdkę rock and rolla, muzyki ye ye, jak się wtedy tutaj mówiło. To znany didżej znanej rozgłośni muzycznej. Ciekawe, po co mu jej towarzystwo w toalecie. Na schodach siedzi rosyjski tancerz w objęciach brytyjskiego dyplomaty. Na podłodze w garderobie kotłują się bardziej anonimowe ciała. Stoję ogłupiały w kącie i boję się ruszyć.

– Aleś, bracie, trafił. Nie mogłeś lepiej. – Nieduży faciek z zadartym nosem przedstawia się jako artysta z Polski. – Afrodyta kocha takich jak ty. Będzie ci tu jak w niebie.

Dolewają mi ciagle jakichś alkoholi i częstują papierosami własnej roboty. Zabawna moda, ale tytoń całkiem, całkiem. Zmęczenie podróżą i nadmiar wrażeń dają wkrótce znać o sobie. Mam tak zwany odjazd. Budzę się rano w swoim pokoju i wyruszam w poszukiwaniu łazienki. Służba właśnie kończy usuwanie skutków wczorajszego tornada. Ochrońiarze płoszą z krzaków w ogrodzie ostatnie zapóźnione pary. Łazienka na szczęście jest wolna, więc doprowadzam się do porządku. Kiedy wychodzę w zawiązanym porządnie krawacie i w zasnurowanych butach, dowiaduję się, że pani prosi.

– *Bienvenu á Paris, mon petit poète*¹ – mówi Afrodyta z łóżka. Coś odpowiadam i stoję w progu skrępowany i niezdecydowany, a ona jasnoczekoladową dłonią wskazuje mi miejsce koło siebie. Unosi się do pozycji na w pół siedzącej, tak, abym miał widok na wszystkie jej kluczowe wdzięki. Wypytyjąc mnie o różne rzeczy, rzuca mi spojrzenie spod nieskończenie długich rzęs, spojrzenie, które sprawia, iż kolana mi miękną, a przyrodzenie twardnieje i krępująco rośnie. Wymienia nazwiska pisarzy i pisarzy, których absolutnie powinienem poznać i zupełnie nie dba o to, że raz jeden, raz drugi melon wymyka się z koszulki i swobodnie ląduje na kołdrze. Nazwiska, które wymienia, nawet mojego promotora

¹ Witaj w Paryżu, mój mały poeto.

na uczelni przyprawiłby o czkawkę, a cenzora o zawał. Wysuwa nieskończenie piękną nogę spod prześcieradła i żąda bym wymasował jej stopę, a ona w tym czasie ułoży kalendarz moich zajęć i spotkań. Kiedy sięga po notes, prześcieradło spada i odsłania to, co kryje, a raczej odkrywa króciutki negliż – regularny, jakby go wytyczył sam Pitagoras, trójkąt czarnych, kędzierzawych włosów. Afrodyta jednak zupełnie nie dba o to. Kładzie się na boku i ukazując mi zupełnie nową, nieznaną perspektywę, poganiam mnie: – No, masuj, masuj, nie spędzimy tu przecież całego dnia.

Wspominam nieśmiało o Norwidzie. – A, to ten z przytułku św. Kazimierza. To nie jest mój rodzaj poezji. Te sprawy załatw sobie sam.

Dobrze jej mówić. Kiedy? Wręczyła mi plan moich zajęć, który był tak wypełniony, że przypuszczałem, iż przez najbliższe dwa tygodnie z toalety korzystać będę jedynie nocą. I do tego miałem pracę. No, w końcu ostrzegano mnie, że tu się nie żartuje. Miałem uporządkować mieszkanie przy ulicy Mouffetard. Trudno. Trzeba będzie się sprężyć. Gra zaczyna być warta świeczki: Jeśli tylko połowa zaplanowanych spotkań dojdzie do skutku, będę miał o czym pisać przez kilka najbliższych lat. Jeśli mnie przedtem nie przytkną lub cenzura nie nałoży na moje nazwisko dożywotniego embarga. Ale co tam. Żyje się raz. Właśnie teraz to rozumiałem, gdy zza niedomkniętych drzwi łazienki dobiegały odgłosy siusiania (kojarzące mi się raczej z piwosem z bawarskiej bierhalle, niż z Afrodytą), mycia zębów i perfumowania się. Kiedy wyszła, zapytałem o porę odjazdu pociągu w kierunku Paryża. W odpowiedzi usłyszałem jej sakramentalne: – Mam to w dupie. *On va aller en ma voiture*². Nie pytaj mnie o takie rzeczy. Jestem Afrodytą. Nie podróżuję ani metrem, ani pociągiem.

Na rue Mouffetard docieramy, mimo korków, dość szybko. No ale w końcu po to się zatrudnia kierowcę. Jest nas troje, albowiem Afrodyta przydzieliła mi do pomocy jedną ze swych służących/pokojówek/wysłanniczek (niepotrzebne skreślić). Corinne, właśnie wkracza do mojej historii krokiem lekkim, nawet podskakując nieco i kręcąc pupą z intensywnością mieszcząc się absolutnie w granicach dobrego smaku. I to robi wrażenie. Nie da się ukryć. Tak, jak niewiele da się ukryć pod jej kusą spódniczką, gdy wchodzę za nią po wyjątkowo stromych schodach do mansardy ka-

2 Pojedziemy moim samochodem.



mienicy, w której onegdaj Hemingway rznął babkę Afrodyty, a ona sama po raz pierwszy użyła swego powiedzenia, które miało przejść do historii tych okolic Paryża. Nogi Corinne mają takie zwieńczenie, iż po raz drugi tego dnia nogi mi zmiękły, a inne regiony ciała mego przeciwnie. No i cienka biała linia stringów pomiędzy pośladkami. Ten rodzaj majteczek był u nas znany wtedy stosunkowo nielicznemu gronu profesjonalistek i półprofesjonalistek. Tzw. cichodajki i pobożne narzeczone nosiły się pod tym względem tak, jakby wspierały lansowaną przez komunistyczne państwo antykoncepcję. Zobaczyłeś parę takich gaci – i natychmiast ci wszystko przechodziło. Lepiej było pójść na piwo. Stąd moje zawroty głowy na historycznych schodach historycznej kamienicy. A do tego majająca w nieco większej odległości pupa Afrodyty, z czerwonym, dla odmiany, paskiem.

Mieszkanie było jak z filmu z lat 30., ale naprawdę było znacznie starsze. Nie było duże i mebli nie było w nim zbyt wiele. – Popakujcie wszystkie papiery niezwiązane z Hemingwayem. Uporządkujecie półki. Fotografie dajcie do oprawy. To zaraz za rogiem. Meble poustawiajcie rozsądnie – tak żeby tu można kogoś wpuścić. Potem uporządkujcie kuchnię i łazienkę. Możecie jadać na dole, u Arabów. Corinne ma pieniądze.

– Ja też mam. – Uniosłem się ambicją.

– Tak? Ile – 100 franków, 200? Nie żartuj. Daj to żebrakowi na placu. Teraz pracujesz dla mnie. Moi ludzie zarabiają więcej niż wasi ministrowie. No, do roboty, *au boulot, mes enfants*³.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się czegoś o wiele gorszego. – W sprawach takich, jak gipsowanie czy wymiana szyb, mamy wzywać ludzi – rozproszyła moje lęki Corinne. – Ale właśnie mija południe i trzeba coś zjeść.

Jedzenie smakuje obco, a największą atrakcją jest zimna coca-cola. Zimne napoje gazowane były wówczas za żelazną kurtyną nieosiągalne. Do dziś nie wiem, dlaczego. Może chodziło o potwierdzenie praktyczne tezy, że człowiek, jeśli nie musi czegoś zrobić, to za Chiny tego nie zrobi. Wyobrażacie sobie, że dziś wchodzicie do lokalu i prosicie o ciepłą colę i niedosmażone mięso? Tłumaczenie, że tęsknicie właśnie dziś za utraconą bezpowrotnie młodością na nic by się nie przydało. Wysłano by was do czubków.

³ Do roboty, moje dzieci.

A ja mam wrażenie, że trafiłem do raju alkoholików. Corinne wraca ze sklepu z siatką pełną butelek. Woda mineralna. Gazowana tak, że jeszcze po dwóch dniach rozkosznie szczypie w język. Ale to nie koniec: wino czerwone i wino białe. Francuskie, z rocznikiem na etykiecie. I, na wszelki wypadek, piwo. Oraz połówka najprawdziwszej wyborowej. – Nie wiem, co wy tam pijecie. Ale może wódkę zamrozimy na wieczór? – pyta z lekkim niepokojem. W końcu mamy robotę. Wino i piwo, *ça va bien*⁴. Ale z wódką mógłby być problem. Przecież nie ma sensu jej tłumaczyć, że nie jestem polskim fachowcem, któremu nawet *une verre*⁵ spirytusu nie mąci postrzeżenia świata we właściwych proporcjach.

Do wieczora udaje nam się uporządkować sypialnię i łazienkę. Kiedy chcę zaatakować kolejne pomieszczenie, by mieć jakieś łóżko dla siebie, Corinne studzi moje zapędy. Rzeczywiście, łożo w sypialni bez problemu mieści nas dwoje. Kiedy usiłuję zasnąć, Corinne wbija się pośladekami w moje podbrzusze i wcale na tym nie poprzestaje. Wzdycha z nieco sztuczną egzaltacją, dając mi do zrozumienia, czego ode mnie oczekuje, a następnie sięga pomiędzy swoimi nogami i opuszkami palców bawi się moim napletkiem, wzmagając efekt przy pomocy dotyku paznokci. Sprawdzam więc jędrność jej pośladeków i wilgotność szparki. W porządku. Jestem oczekiwany. Robię więc *entrée*⁶. Może nie jest ono wielkie po tak pełnym wrażeń i pracowitym dniu, ale panna C. wygina z cichym okrzykiem swe zgrabne plecy w łuk i opada na prześcieradło. Bisu jednak nie będzie.

Rano budzę się z uczuciem zaskoczenia i mgiełką niejakiego zdziwienia na powiekach, jakby powiedział de Musset, gdyby taka sytuacja mu się przytrafiła, choć nie ma nijakiej gwarancji, że mu się nie przytrafiła. Jest nas bowiem troje. Podczas, gdy spałem słodko z rączkami na kołdrze (o, pardon, na prześcieradle), śniąc o ojczyźnie szczęśliwej i spokojnej, dołączyła do nas Afrodyta. Oddają się teraz wraz z Corinne dość zaawansowanym w swej lubieżności igraszkom.

– To jest hołd dla literatury, *mon petit*⁷ – powiada Afrodyta. – W tym łóżku Anais Nin uwiodła June Miller.

4 Będą dobre.

5 Szklanka.

6 Wejście.

7 Mój mały.



A to ci historia z tą ulicą Mouffetard. I z babką Afrodyty. I z nami. Tylko Norwid jakoś w niej się nie mieści. Towarzysz Kliszko, który ogłosił się miłośnikiem i wskrzescielem Cypriana Kamila dostałby zawału, gdyby wiedział, co porabia bądź co bądź państwowy stypendysta-norwidolog w Paryżu.

A tu dziewczyny się rozkręcają. Objęte czule turlają się po łóżku, w tym także po mnie. Nakrywam głowę poduszką, by na to nie patrzeć. Przecież to chyba lesbijki. Takie dziewczyny! Dlaczego się nie leczą? To musi być bardzo przygnębiające. Czyżby?

Żadna z nich nie wygląda na przygnębioną. Obie są pełne zapału i energii. Ale Corinne przecież jeszcze wczoraj szczytowała moich ramionach. Udawałażby? Nie mogę patrzeć, jak wsuwa język w usta Afrodyty, która bierze w dłonie jej piersi i kciukiem oraz palcem wskazującym pobudza ich brodawki. Nie mogę patrzeć na ten nieprzytomny wyraz jej twarzy. Ale patrzę. Patrzę i widzę, jak Afrodyta liże skraj małżowiny ucha Corinne, przesuwając dłoń poprzez brzuch pomiędzy jej uda, które rozsuwa jednym, jakże męskim ruchem. Męskim? Dlaczego męskim? W żadnej z nich nie ma nic męskiego. Teraz Corinne zmienia ułożenie, dotykając niechcący stopą mojego brzucha. Niechcący? Kto to wie? Nad czym tu się jednak zastanawiać, kiedy mała C. liże i pieści palce stóp swej chlebobawczyni. Afrodyta chichocze lubieżnie i zaczyna gładzić łydki małej C. I jednak sięga wyżej. I kładzie się na plecach. A C. klęka nad nią i całuje jej brzuch ze szczególnym uwzględnieniem pępka (z języczkiem). Afrodyta przyciska do twarzy jej pośladki, pomiędzy których wysunęła się kępka włosów, i sama unosi biodra. Corinne daje nura w kierunku jej krocza... i nagle pada krótka jak uderzenie pejcza komenda: – Dość! *Assez*⁸!

Obie zmieniają ułożenie swych ciał i przytulają się do mnie, który postawiłem krępujący namiot z prześcieradła i nie wiem, co teraz z nim zrobić. Tym bardziej że przytulanie nie będzie miało dalszego ciągu:

– Przespałeś dziś naszą miłość, *mon petit*. Trudno. Trzeba wstawać. Ale, ale... – Ku mojej zgrozie zajrzała pod namiot. – Chyba nie powinnam cię nazywać *petit*.

Wstajemy. A moim sercem targa żal, lecz nie długo, bo rzeczy dzieją się w zawrotnym tempie, bo w tym mieście wszystko dzieje się w zawrotnym

tempie, bo inaczej nikomu nie starczyłoby czasu na cokolwiek. Najpierw pomagam Corinne porządkować, a potem jadę na rue du Chevaleret. Do przytułku św. Kazimierza. Do Norwida. Odpracować stypendium. A jużci.

A tam zaproszenie dla mnie. Na wieczorek patriotycznej poezji pod egidą ambasady. Oczywiście pod egidą będzie wszystko: i wieczorek (kanapki, wódeczka i słowo wiążące), i poezja, a nade wszystko patriotyzm. No bo w tym rzecz, by nie było patriotyzmu bez ambasady. A nawet gdyby się jakiś patriotyzm pokazał, to tak ma być, psia jego mać, żeby bez ambasady nie wydawał się ani trochę patriotyczny. Dobrze mówię?

– Ależ tak! Tak. Jak najbardziej. – Zachwyca się mięsista twarz znad zbyt ciasnego kołnierzyka koszuli non-iron. A może nie kołnierzyk jest za ciasny, ale twarz zbyt mięsista?

– Teraz ci młodzi to od razu w sedno trafiają. Wiadomo. Ojczyzna dała wykształcenie, to ojczyzna oczekuje sedna.

W tym otoczeniu, w powietrzu zepsutym oddechami tych mięsistych twarzy, głównie należących do wyposażenia ambasady (o ich patriotyzm i poezję należy dbać przede wszystkim – takie odnoszę wrażenie), kilka głupich facjat użytecznych idiotów (aż dziw bierze, co to ludzie potrafią z siebie zrobić, mając w perspektywie darmową kanapkę z kawiosem i równie darmowy kieliszek wódki) i jedną lub dwie gęby kataryniarzy. Żaden z nich jednak nie był tym, który odkrzyknął małej Afrodycie. Aha, były jeszcze opięte spódnice czy też zbyt tłuste tyłki. Ale one nie miały znaczenia. I właściwie nic na tym wieczorku nie miało znaczenia. Ani kanapki, ani wódka, ani nawet patriotyzm, który popity dosyć już ciepłą wyborową powodował uczucie nudności. A to wszystko pewnie dlatego, że nie mogłem się już doczekać na Corinne, która miała po mnie przyjechać.

Stałem w hallu, mocno już znużony patriotyczno-poetyckim cmo-kaniem w policzki tudzież śliniace się usta i obserwowałem moknąca w deszczu ulicę za oszklonymi drzwiami.

– Wymykasz się nam, młody człowieku – powiedziała niezwykle opięta spódnica z wielopoziomowym odcieniem zawodu.

– No cóż... – odpowiedziałem niezbyt kategorycznie.

Ale oto jest. Corinne za kierownicą ogromnego citroena Afrodyty. Zbiegam ze schodów, a za mną biegnie bezgłośnie anatema seksualno-ideologiczna. „Wyuzdane paryskie kurwy, sterowane przez określone, wrogie



nam ośrodki już go dopadły i nie zawahają się wykorzystać w najbardziej odrażający, antysocjalistyczny sposób” – pisze swój raport opięta spódnica. A niech sobie pisze. Dziś jestem królem życia i to nie byle gdzie.

Jedziemy na rue Mouffetard. Corinne gdzieś znika, a ja patrzę przez moje okno (w końcu to mansarda) na mokre paryskie dachy. Łóżko, tym razem puste, czeka, ale mnie nie chce się spać. Słyszę dobiegające skądś dźwięki dawnego jazzu. Francuzi są właśnie w epoce retro. Ubrania naśladowujące lata dwudzieste, muzyka, i nawet pospolite oprychy noszą się á la Bonnot, o którym śpiewa się teraz piosenki. *Les hirondelles des gendarmes...*⁹ ładne, nieprawdaż, Cyprianie Kamilu? A jednak „łza dla Julietty” ładniejsza.

Gdzieś miauczy kot. Ktoś gwizdże na ulicy. Ciemny kontur wieży Eiffla na tle rozświetlonego miejską luną nieba. Dzwonienie deszczu w rynnie kołyszę mnie do snu. Przy łóżku piwo z datą. 1664! Ciekawe, co się wówczas działo w Polsce. Ano miłościwie nam panował Jan Kazimierz ze swą francuską żoną Ludwiką Marią. A jak panował? Nie najlepiej panował, aż w końcu abdykował. Wojowało się trochę z Rosją, trochę z innymi. Normalka. A tu? Molier wystawił „Świętoszka”, a Ludwik XIV miał się dobrze i panował całkiem, całkiem, choć nie był tak pobożny, jak Jan K. No i to piwo w kraju raczej winem płynącym.

Nazajutrz Corinne jak nie było, tak nie ma, a ja biorę się do roboty. Najpierw kolejny pokój, potem kilka słów o Cyprianie Kamilu. Dzwonek do drzwi. Para Amerykanów, którzy chcą zobaczyć łóżko chwały Hemingwaya i Millera. Pokazuję im także łazienkę, twierdząc bezczelnie, że to właśnie w niej pocieszał autor „Ruchomego święta” autora „Wielkiego Gatsby’ego”, gdy ten drugi okropnie załamany był, prawdziwą czy domniemaną, mikrością swego fiutka, co dość skutecznie odbierało mu chęć do życia i pisania, a także, jego zdaniem rzecz jasna, czyniło go malutkim i nieważnym w oczach Zeldy. Hemingway wpadł na pomysł wysłania go do Luwru (było blisko i po drodze), by uświadomił sobie z jakiej perspektywy patrzemy na cudzego fiutka, gdy już musimy to robić, a z jakiej na własnego. Rzeczy widziane z dołu wydają nam się zawsze większe. Jednak banknot, jaki pod wrażeniem (tak sądzę) mojej opowieści zostawili na komodzie Amerykanie, był nawet widziany całkiem z góry, absolutnie imponujący.

9 Jaskółki żandarmów.

Telefon. Dzwoni Afrodyta. Mam zaproszenie na jutrzejszy wieczór do Malmaison. Corinne dziś nie będzie. Mówię Afrodycie o banknocie, a ona mi na to swoim dźwięcznym głosem: – Mam to w dupie. Jest twój. Znajdź sobie dziwkę na wieczór. Nie siedź sam i nie upijaj się. – Nie upijam się i nie siedzę sam, ale też nie szukam dziwek. Same mnie znalazły, ale je przegoniłem. Idę do restauracji na obiadokolację, absolutnie francuską, z akcentem na „ą”. Białe wino do ryby. Czerwone do wołowiny. Potem sery. Na zakończenie kawa i koniak. Gorzała z prowincji Cognac, znaczy się. Rachunek. Napiwek. Reszta. Powinienem mieć walizkę, nie portfelik. Przesadzam? Trochę. Idę się przejść. Dochodzę do Boulevard St. Michel i co widzę? Dwa kurwizony z mojej uczelni, z czwartego roku czegoś tam zaczepiają facetów. Mnie też. Chyba z rozpędu. Wyciągam z kieszeni banknot (z tych średnich): – Spieprzajcie stąd. Zaraz tu się zwali pół uniwersytetu. Jesteśmy tu oficjalnie, na norwidowskiej konferencji naukowej. Na co ta grubsza mówi: – Popatrz, on ma forszę. Może byśmy go zaprosiły. – Won! – Zakończyłem miłe spotkanie z rodaczkami i wróciłem do mansardy, gdzie Hemingway, Miller, Scott-Fitzgerald, Anais Nin i inni nie urządzali nic innego, niż to, co chciały zrobić tamte lampucery. Ja im jednak odmówiłem. Dlaczego? Nie wiem.

Rano obudziła mnie Corinne szwendająca się po mieszkaniu. Miała podbite oko, a w majtkach woreczek z lodem. Sama się pochwaliła, bo nigdy bym na to nie wpadł. Razem z kilkoma przyjaciółkami podejmowały jakichś Anglików. Ponoć byli rewelacyjni. Muzycy rockowi. Byli w Paryżu i innych miastach Francji z koncertami. – Sałaty i maryhy mieli jak liści na drzewach. – Tak się właśnie wyraziła. – A oko? – zapytałem. – Tak jakoś w zamieszaniu. Któryś pod koniec zrobił się zazdrosny, a ja akurat zaliczałam perkusistę. Ale to nic. Było extra. – Z akcentem na „a”. – Ja myślę – odpowiedziałem, starannie ukrywając nutkę żalu, a może nawet lekkiej zazdrości. – Na takie okoliczności masz tu numer do Elodie. – Nabazgrała coś na kartce. Udałem zainteresowanie równe temu, jakie wywołałby u mnie numer pralni chemicznej na wypadek zabrudzenia dywanu czy firanek, ale karteczkę schowałem. Na wypadek... no, wszelki wypadek. Wiadomo.

A teraz robota. Ja – Norwid, Corinne – pełna kurzu garderoba. Trudno. Nie samymi przyjemnościami człowiek żyje. Wieczorem torby z nazwami wielkich i niewielkich magazynów. Część zawartości jest dla mnie. Marynarka włoskiego kroju z podniesionymi ramionami, kastrujące spodnie,

przylegające do ciała tak, że człowiek nawet banknotu nie ukryje, a co dopiero klejnoty rodzinne, koszula z dużym kołnierzem i krawat lub apaszka. Nie lubię krawatów. Wybieram apaszkę, dając się w dalszym ciągu. W samochodzie Corinne gładzi mnie po udzie:

– Już dobrze? Nie możesz pokazywać się w Malmaison w stroju prowincjonalnego archiwariusza. Jesteś artystą. Stypendystą Afrodyty, bo co robisz ze swoimi, nikogo tu nie interesuje, a kto z was kogo dyma – to najmniej, bo to na ogół dobrze wiemy.

Ty razem w galerii Malmaison zupełnie inne postacie. Ktoś z telewizji rzyga z balkonu. Angielscy muzycy grają w piłkę nożną głową indiańskiego wojownika z salonu. Naga pieśniarka wykonuje swój najnowszy przebój na stole, z którego pada wprost w ramiona producenta płyt lub biskupa z prowincji. Najwyraźniej nie ma zgody co do tożsamości zażywnego mężczyzny w szarym garniturze.

– A więc pan pisze wiersze. – Interesuje się degenerat z ministerstwa spraw zagranicznych. – A więc pan jest ze Wschodu. – Docieka wydawca literatury politycznej.

– A więc pan coś wie. – Sugeruje prominentny związkowiec.

– A więc pan jest mężczyzną – mówi piskliwym głosem bojownik o seksualną swobodę.

– Cztery razy tak – odpowiadam, ale nikt nie kupuje dowcipu, za który w Polsce w pewnych kręgach dostałbym być może w tak zwany ryj. Tu się bije za co innego, a właściwie to się prawie wcale nie bije. Za kilka lat zaczną się podkładać bomby i podpalać samochody, ale póki co modna jest nieokiełznana miłość.

– Zadeklamuj jakiś swój wiersz. – Łaskawie proponuje rozchełstany poeta z papierosem w ustach, bawiący się od niechcenia piersią siedzącej na jego kolanach dziewczyny. Coś tam bełkoczę oszołomiony zaszczytem. Idzie mi nieszczególnie, bo dziewczę bawi się teraz zamkiem moich spodni i usiłuje wsadzić mi środkowy palec do ust. Trudno. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Jakoś jednak doprowadzam deklamację do końca.

– Melodyjny ten rosyjski – wyrokuje poeta. – Słyszałem, że niezły z ciebie Rasputin. Wpadnij do nas we czwartek wieczorem. Będzie kilka osób. *Na zdarowie*. – Kończy, podnosząc do ust szklaneczkę whisky. – Pocałuj mnie w dupę. Z akcentem na „ę” – odpowiadam z przymilnym uśmiechem, składając dworski ukłon w stylu Ludwika XIV i oddalam

się z godnością. W czwartek oczywiście przychodzę. Mogą sobie mnie nazywać, jak chcą, ale na głowę jeszcze nie upadłem.

– Coś pan pisze, młody człowieku? Możemy pomyśleć o publikacji. Zwłaszcza jeśli to jest coś, co nie nadaje się do druku u was – nalega wydawca, który nie myli polskiego z rosyjskim i doskonale wie, dlaczego Kliszko wskrzesza Norwida.

– No tak – odpowiadam z pewnością siebie, która nazajutrz, bo dziś wieczorem będę nietrzeźwy i upalony, zjeży mi włosy na głowie. – To już prawie gotowe. Tyle że po polsku.

– Domyślam się. – Wydawca daje wyraz swojemu sceptycyzmowi wobec mojego francuskiego. – Co by to było?

– *La Pologne décadente*¹⁰ – eseje erotyczno-polityczne. Wie pan, komuniści dymają siebie nawzajem, dymają dupiaste komunistki na biurkach i pod nimi, dymają intelektualistów żywych i martwych. Nie ma perwersji i zboczenia, które byłyby im obce. I oto rodzi się opozycja. Rośnie i dojrzewa w skandalicznych warunkach, bo mimo że jest *under age of consent*¹¹, właściwie dzieciątko, takie promieniejące niewinnością, także jest bezwzględnie dymana. Nie wiadomo, co z niej w takich warunkach wyrośnie. Słowem gigantyczna rżniętka nad Wisłą.

– Brzmi nieźle. Ale co z katolickością narodu?

– Jest to pewien problem, ale przecież pobożność ludowa tak zwana może być szansą na oddzielenie plew od ziarna. Jeśli nie teraz, to kiedyś. I będzie można się wypowiedać i otrzymać karteczkę ze stempelkiem.

– No, może. W jakiej fazie jest pańskie dzieło?

– Końcowej.

– Dobrze. Ktoś się do pana odezwie.

Zatrzymałem się przy budce telefonicznej i zadzwoniłem do Elodie. Nie znałem jej i obawiałem się, że mój poalkoholowy francuski może nam utrudniać komunikację. Wchodząc do mieszkania przy rue Mouffetard, przekonałem się, że nie. Elodie już tam była. Nawet nie spytałem, skąd wzięła klucz. Obudziłem się rano przytłoczony nieco nadmiarem wszystkiego, co leżało ze mną w łóżku. Ogromne melony unosiły się w takt jej oddechu, a noga, tyleż proporcjonalna, co monumentalna, koloru ciemny

10 Polska dekadencja.

11 Wiek przyzwolenia.



beż, przygważdżała mnie skutecznie do materaca. Na razie nie mogłem się nawet poruszyć, więc wykonałem pewną mało skomplikowaną operację myślową.

Zadałem sobie mianowicie pytanie, jakie cele miałem, przyjeżdżając do tego miasta, i które z nich udało mi się zrealizować. Ogarnął mnie niepokój. Bo leżę sobie w dosyć przyzwoitym mieszkaniu, w historycznej bądź co bądź dzielnicy Paryża, w czystej pościeli, z czystą i urodziwą ciemnoskórą dziewczyną, mam co pić, mam co jeść, choć w zasadzie niepalący, popalam od czasu do czasu skręty, jestem ubierany i wożony, bywam w określonych kręgach. A plany miałem skromne. Napisać te parę słów o panu N., skasować te kilkaset franków i wydać je z głową na bagietki, cołą i drobne prezenty dla rodziny. Coś tu nie gra. Jakies tam materiały mam. Co są warte, dopiero się okaże (oceni to promotor). Ale gdzie się podziało moje skromne życie? O cnotliwości nawet nie wspominał, zwłaszcza gdy patrzę na posąg śpiący obok mnie i przypominam sobie, jak ujeżdżałem go w nocy. A potem posąg ujeżdżał mnie. I do tego jeszcze ten wczorajszy wygląd z *La Pologne décadente*. Oczywiście, mogę powiedzieć, kiedy ktoś się odezwie, że to nieporozumienie i że na przykład mówiłem o czymś, co przed pięćdziesięciu laty napisał mój dziadek. Mógłbym. Gdyby nie takie małe łaskotanie w okolicach przysadki, czy jak to się nazywa. To łaskotanie ma w swej treści niewyartykułowany komunikat. I on brzmi, choć jest niewyartykułowany, „wyrznij numer i idź na całość”.

Telefon. Dzwoni i dzwoni, i dzwoni. A ja wyczołguję się, centymetr po centymetrze, spod uda Elodie, która, gdy już stopy postawiłem na podłodze, zaczęła zgniatać pomiędzy tym a drugim udem moją głowę, co szkodziło zwłaszcza moim uszom. Zrozumiałem wtedy, dlaczego zapalnicy ukrywają je pod opaską. No ale wreszcie udało się. Znowu byłem wolny. Podbiegłem do telefonu.

– Co za widok na przebudzenie – powiedziała Elodie, przeciągając się w pościeli i robiąc aluzję do braku na mnie czegokolwiek.

– Mam dla pana dobrą wiadomość – powiedział do słuchawki głos, który po chwili zidentyfikowałem jako głos wydawcy. – Niech pan to szybko kończy i przynosi do wydawnictwa.

Rany boskie! Rany boskie! To dopiero numer. I co teraz? – Jak to, co? – odezwał się głos mający wszelkie cechy głosu rozsądku, czy czegoś po-

dobnego. – Siadaj i pisz. – Głos zacytował moją mamę, która tymi słowami napędzała mnie do odrabiania lekcji. Trudno. Siadam i piszę. A panna Elodie zechce zamknąć za sobą drzwi. Z drugiej strony. O tak. Teraz dobrze.

Nazajutrz telefon z ambasady. – Pan się nam wymyka, młody człowieku. – Groźba? Chyba tak. To zdanie już tu raz słyszałem. Co mam odpowiedzieć? – Mam to w dupie? – Bez akcentu na „e”? Chyba nie. Chyba jeszcze nie.

Jadę. Pokazuję materiały, a na pytanie, z czego żyję, odpowiadam, że znajomi mi pomagają. Jacy znajomi? Nazwiska, adresy. Nie musi pan odpowiadać na to pytanie? Ano zobaczymy. Proszę tu podpisać. I podpisuję. Po to, by po latach trafić na jakieś przesławne listy, stanowiące kontynuację przesławnego narodowego dymania. By przekonać się, że komuna potrafi dymać i zza grobu. Ale cóż? Nie podpisywać? A nuż nie wypuszczą, upiją i zawiozą w worku do Warszawy? Wypuszczają.

Mam ich gdzieś. Teraz do roboty. Bo duszno. Bo termin coraz bliżej. Bo się powiedziało „a”. Mansarda przy ulicy Mouffetard to teraz pustelnia. Wczesnie rano – biurko, wczesnie popołudniu – porządki. Nie ma Corinne, nie ma Elodie. Odmawiam Afrodycie. Tu się, kurwa mać, pracuje. *Qu'est-ce-que c'est*¹² „kurwa mać”? „Kurwa mać” *c'est* „Kurwa mać”, i nie akcentuj mi na ostatnią sylabę, ty czekoladowa zdziro, bo zatłukę. Dziś spotkanie w wydawnictwie. Wieczorem przyjadę do Malmaison. Nareszcie.

Wydawnictwo. Spotkanie. Konferencja. Beze mnie. Czekam w bistro. Wracam. Decyzja. Tak. Zaliczka. Tak. Prawnicy. Umowa. Prawa autorskie. Początek czegoś? Kto wie czego.

Póki co Malmaison. Triumf. Szalona noc. Wracam na rue Mouffard z Elodie i z Corinne. Corinne spławia Angoli, Elodie jakichś typów, chyba tenisistów z Martyniki. Robi się szaro. W radiu na dzień dobry śpiewa Jacques Dutronc. *La tour Eiffel a froid au pieds*. – *J'ai aussi froid au pieds*¹³. – Mówię do dziewczyn. I świat staje się wielkim, wielgachnym łóżem, nakrytym ogromną kołdrą. Spać albo nie spać? Oto jest pytanie. Dwa ciała promieniują rozkosznym ciepłem. Wystarczy włożyć łokieć pod głowę i zamknąć oczy. Ale czy podobna? Bo te dwa ciała mają wszystko, co ciała mieć powinny i mają to w najlepszym gatunku. Jedwabisty dotyk

12 Co to jest?

13 Wieży Eiffla jest zimno w stopy. – Mnie także jest zimno w stopy.

skóry, jej egzotyczna barwa (w każdym razie na jednym z ciał). Żadne z nich nie było obce, ale też żadne z nich nie spowszedniało mi do takiego stopnia, bym mógł sobie powiedzieć, że można je odłożyć do jutra czy też do jakiegoś mglistego następnego razu. Może się okazać, że ani jutro, ani następnym razem sprawa już nie jest aktualna. Tak to już jest w poezji, w Paryżu i jeszcze w kilku innych rzeczywistościach, że sprawy są aktualne teraz albo nigdy.

Zresztą wskazówka mojego seksualnego kompasu już się ustawiła, wskazując kierunek, a dokładniej kierunki: prawy i lewy, północ i południe, górę i dół. Sen odszedł w nieznanym kierunku. Świat wypełniły oddechy i westchnienia, dotknięcia i pieszczoty, głaskanie i poklepywanie, tulenie i przyciskanie, lizanie i przygryzanie. Wargi i języki, uszy i opuszki palców, plecy i brzuchy, uda i pośladki, kolana i stopy. W różnej kolejności, w zmiennym tempie. Kropelka śliny i zapach perfum, delikatny zapaszek amoniaku i odrobina wilgoci. Włosy na karku i włosy łonowe. Rozsunięty srom i odsunięty napletek. I sztywność aż bolesna. Oraz wilgoć wciągająca. Eksplozje odrębne i zbiorowe, szałowywane i zlizywane. Dyskretnie wystawione języczki i ruchome, pełzające jęzory. Ssanie i dmuchanie. Połykanie i wstrzymywanie. Omdlewanie i pobudzanie. Śmierć i zmartwychwstanie z nadzieją na kolejną śmierć.

Wreszcie wjechałem w sen jak w niekończącą się pochwę lub tunel pod niewyobrażalnie wielką i rozległą górą. Co było w tym śnie? Jakies widoki zmieniające się jak w kalejdoskopie, jakies mętne proroctwa, sytuacje pozbawione elementarnej logiki. To wszystko, co pamiętam. U końca tego wszystkiego było przebudzenie. Połączone z krzykiem: *Assez!*

Obie moje muzy wyprysnęły z łóżka jak z procy. W progu stała Afrodyta. W ręku, zamiast pejcza, trzymała moje norwidowskie notatki. Gdy dziewczyny w tempie godnym plutonu komandosów zabrały się do porządkowania tego, co jeszcze pozostało w historycznym mieszkaniu, odłożyła pełnym znużeniem gestem kartki na biurko. – Nie tego szukam.

– A czego, jeśli wolno spytać? – Nie przepadam za grzebaniem osób postronnych w moich rzeczach, a zwłaszcza rękopisach i notatkach, więc głos mój nie brzmiał chyba najmilej.

– Jestem ciekawa tej twojej Polski dekadencjowej. Choćby kawałka – nalegała przymilnym głosem. – Proszę.

– A, co tam – pomyślałem. – Znam takich, którzy się bardziej ośmieszili.
 – Sięgam do ukrytego pod łóżkiem pudełka i wydobywam spory stosik zapisanych ręcznie kartek. Zacząłem czytać na głos:

„Jaźwiec wyszedł tego dnia z urzędu zmęczony i wściekły. Zmęczony niekończącymi się przesłuchaniami podejrzanych, a wściekły, bo składając raport pułkownikowi, zobaczył pod jego biurkiem nogi w butach z wykoślawionymi obcasami i w pończochach z przekrzywionym szwem. To przecież on umówił się na wieczór z tą lafiryndą Gracjaną, której trzeba wciąż przypominać teorię walki klas, a ona najbezczelniej w świecie obsługuje seksualnie tego obrzezanego zbrojeńca pułkownika, który nawet najbardziej pokracznej sprzątacze nie przepuści. Ale to się jeszcze obróci przeciwko niemu, już jego, Jaźwca, w tym głowa. Był przekonany, że zza firanki obserwują jego wyjście i dzielą się złośliwymi i poniżającymi uwagami na temat jego sprawności seksualnej czy wielkości jego przyrodzenia. Szczególnie ten drugi temat wydawał się Jaźwcowi upokarzający i bolesny. Jeszcze w szkole milicyjnej będąc, zauważył podczas zbiorowych kąpieeli, że jego mały w porównaniu z innymi małymi, jest chyba rzeczywiście mały.

– Czy mój mały jest rzeczywiście taki mały? – Z tym palącym pytaniem zwrócił się do Apolonii Grzdyl, jednej z kucharek, która w razie pilnej potrzeby, w zamian za drobne prezenty, świadczyła chłopcom doraźne usługi seksualne, tak by nie byli zdani na przypadkowe kontakty z ludnością miejscową, której świadomość klasowa pozostawiała jeszcze wiele do życzenia.

Apolonia ujęła jego członek w swe spracowane proletariackie dłonie i przymknąwszy na dłuższą i pełną napięcia chwilę oczy, dokonywała oceny. Serce młodego Jaźwca waliło jak młotem. Czekał na rozstrzygnięcie jak na wyrok decydujący o jego dalszym życiu. Apolonia wykonała kilka coraz energiczniejszych ruchów i już otwierała usta, by sfinalizować ekspertyzę, gdy wtem powietrze przeciął jak bat ryk podoficera dyżurnego: **Bacznosc!!!** Jaźwiec poderwał się z całą służbistością i stał teraz wyprężony jak struna, a omdlewający ptaszek powiewał na jego froncie. Apolonia, również na bacznosc, klęczała przed nim. Do sali weszło dwóch oficerów z powiatu w towarzystwie komendanta.

– Spocznijcie, Jaźwiec. Choć widzę, że wy i bez rozkazu spoczywacie, obrażając człowieka pracy i kobietę w jednej osobie. A wy, towarzyszeko Apolonio, chodźcie z nami. Przyjechali towarzysze, którzy uszanują wasze zasługi w utrwalaniu władzy ludowej oraz kobiecość klasowo uświadomioną.

I tak oto Jaźwiec pozostał bez odpowiedzi, bo czyż odpowiedź udzielona samemu sobie, jest prawdziwą odpowiedzią? Ale za to z kompleksami i niepewnością pozostał.

Tymczasem w kraju sporo się działo. Biuro polityczne chętnie widziało wiktoriańskie obyczaje u proletariackich obywateli. Rozwiązłość wszelką tępiło. Pokój w hotelu mogli dzielić tylko mąż i żona. Molestowania w pracy nijakiego nie tolerowano. Konkurowano o polskie dziewictwo z Kościołem. Rozwiązłość (w odpowiednim czasie) przypisano syjonizmowi. Kiedy już uporano się z syjonizmem, wprowadzono odgórnie nieco rozwiązłości, ale świadomej, klasowej. Wojewódzkie miasta miały prawo do odrobiny nagości – w miejscowym luksusowym hotelu, gdzie wśród towarzyszy przypadkowości nijakiej nie ma, zezwalano na striptiz. Prawo do odrobiny nagości mieli także studenci – jedno zdjęcie na ostatniej stronie w tygodniku takim jednym. Początkowo towarzyszka fotografowana czy też przedrukowywana miała obowiązek łono swoje będące w społecznej służbie częścią garderoby lub w razie niemożności ręką zasłaniać. Z czasem jednak towarzyszki owe dorobiły się włosów łonowych, a niektóre nawet i warg sromowych większych. Jednak od szczebla powiatu w dół wszystko zapięte było pod szyję i ubrane w majtki barchanowe, z nogawkami. Nazewnictwo obowiązywało naukowe. Był zatem członek, nie było ani ptaszka, ani kutasa, a już w żadnym wypadku chuja. Był więc srom lub narząd płciowy żeński. O wszelkich cipkach, szparkach czy pizdach należało raz na zawsze zapomnieć.

Wyjątkiem był Jaźwiec, bo jego mały był tak mały, że niepodobna go było nazwać inaczej i na zasadzie rekompensaty ulubionym określeniem funkcjonariusza J. był chuj. Słowo to oznaczało wszystko: rzeczy małe jak jego własny mały, rzeczy wielkie, jak Związek Radziecki, który w jego pogadankach dla młodych funkcjonariuszy był nieodmiennie wielki jak chuj oraz zupełnie nic, jak wtedy, gdy dyscyplinował podwładnego, mówiąc: – Chuja dostaniecie, a nie przepustkę. I tak mijał dzień za dniem, rok za rokiem. Aż nagle, ni z tego, nie z owego, mimo wszystko, Jaźwiec, ku zgrozie przełożonych i podwładnych, pewnego pięknego dnia się ożenił”.

Tu Afrodyta przerwała lekturę i spojrzała przeciągle na mnie i powiedziała rozkosznym głosem: – Boże, jak mnie to podnieca. Skąd ty bierzesz pomysły, *mon petit*?

- Z życia i z prasy – odpowiedziałem szczerze.
- Szczęśliwy kraj ta Polska. Pisz dalej.

No to pisałem. Rano, w południe, wieczorem i w nocy. Po południu nie, bo dziewczyny kończyły robotę, jedliśmy razem obiad i dawaliśmy nura do łóżka. Rzadko kiedy we trójkę, ale się zdarzało. Tymczasem towarzyszył Jaźwica, a zwłaszcza jego mały, byli już niemal w zaniku. W Polsce panoszyli się obcy, a żona Jaźwicy, mimo że, jak o niej mówił, baba jak chuj, okazała się na dodatek elementem o słabej świadomości klasowej i narodowej, bo i takiej dorobiliśmy się w ostatnich latach, i wzięła sobie ciemnowłosego i kędzierzawego kochanka.

Po kilku miesiącach znów zaproszono mnie do ambasady.

– Coraz bardziej się pan od nas oddala, młody człowieku. – Udo w obcisłej spódnicy z modnym rozcięciem przyciskało moją nogę do stolika okolicznościowego, przy którym odbywano nieformalne części spotkań. Nie było się jak z tego przycisku wywinąć. No i ta ręka na moim udzie. – Słyszeliśmy, że coś tutaj wydajecie. A może kogoś byście dla odmiany wydali? Ha, ha. (Dowcip).

– No, tak. Może niekoniecznie – odpowiadam zza podwójne gardy.

– A co to będzie i u kogo? Co tam o nas myślą? – Cyc, potężny mi w bok, a ręka niemal w krocze. – Opiszcie, krótko, ale z nazwiskami. – Kartka i długopis na stół. – Nie? Na pewno nie? To jak sobie chcecie. Podpiszcie, że rozmawialiśmy. Też nie? Nieładnie, nie dogodzić kobiecie. Aha, to chyba trochę wbrew warunkom stypendium. – Ręka i cyc cofają się.

– Mam to w dupie. – Bez akcentu na „e”. Z całą pewnością.

– Jeszcze zobaczymy – odpowiada sycząco.

Biegiem na ulicę Mouffetard i pod prysznic. Na udzie brud. W kroku (niemal) brud. I bok cały brudny. Brud się zmył, ale wrażenie dotknięcia tym ideologicznym cycem nie chce mnie jakoś opuścić.

„No więc ten kędzierzawy to był niezły artysta. Pisywał gdzieś po gazetach, a w porze zamykania nocnych knajp zjawiał się u Jaźwicy i nie tylko odwalał swoją pałą całą robotę tam, gdzie milicyjna pałeczka okazywała się bezużyteczna, ale tajniakowa skłonna była uważać go nawet za cudotwórcę. Jego cudotwórczość polegała na tym, że niemal każdego ranka klępe o ogromnym zadzie i włochatych nożyskach przemieniał w wielkooką gazelę, motyla unoszonego powiewem orgazmu, Sulamitkę jakąś, czy co. Czynił to za pomocą swej czarodziejskiej różdżki i kilku, jak się potem okazało, banalnych słów. Wszystko odbywało się według ustalonego rytuału: Jaźwica klękała na łóżku, wypinała swój zad, unosiła koszulę i wypowiadała



zaklęcie: Ach, Alibabo, otwórz swój tęskniący sezam. Alibaba, zawsze elegancki, rzadko trzeźwy, bełkotał z cicha: sezamie, otwórz się, a kiedy już w nią wszedł, dodawał jeszcze ciszej: teraz cię szybko zerżnę, kretynko, i coś zjem, bo padnę.

Wszystko to wskazywało, iż po jednej stronie mieliśmy do czynienia z entuzjazmem, a z drugiej z czystym wyrachowaniem. I tak rzeczywiście było. Po każdej porcji czarów kędzierzawy otrzymywał bowiem tytułem czulej rekompensaty sute śniadanie oraz flaszkę wódki bądź jej finansowy ekwiwalent. Stan ten utrzymywał się przez czas jakiś. Trwałby zapewne dłużej, ale tak już jest, że jeśli ludzie mają coś dobrego, to uważają, że należy im się coś jeszcze lepszego. Nie ma bardziej błędnego rozumowania, ale spróbujcie wytłumaczyć to ludziom, nawet klasowo uświadomionym.”

„W praktyce wyglądało to tak, że Jaźwicz ze swym maleńkim małym, którym zaledwie od czasu do czasu łaskotał swoją małżonkę gdzieś w okolicach przedSIONKA pochwy czy w pobliżu odbytu (w skonfiskowanych międzynarodowej siatce zboczeńców materiałach dojrzał kiedyś obraz stosunku analnego, który zapadł głęboko w jego podświadomość, choć świadomość jego, przepojona światopoglądem naukowym jego i aksjomatem o wiodącej roli klasy robotniczej, pod tym względem pozostała nietknięta), a w zamian za to otrzymywał prawo do tryumfu pierwszej kategorii, niby rzymski zwycięzca ważnej kampanii. Dla tajniakowej korzyści były oczywiste. Najgłupsza nawet kobieta wie, że o ego męża należy dbać. Więc dbała, co nie sprawiało jej trudności, jako że jej hormony śpiewały w harmonii z hormonami mężczyzny. A że nie był to jej legalny mężczyzna? Trudno.

Biorąc pod uwagę fakt, że jej napady złego humoru spowodowane dojmującym poczuciem niedorzędnego, przypominały trzęsienie ziemi, tsunami, wybuch wulkanu i uderzenie planetoidy średnicy powiatu opoczyńskiego razem wzięte, małżeńskie saldo Jaźwca prezentowało się zdecydowanie dodatnio. Ale co innego mieć dodatnie saldo, a co innego o tym wiedzieć. Jaźwicz jako typowy Lechita mniej się cieszył tym, co miał, a bardziej bolał nad tym, że coś ma także kto inny.

Początkowo nie wiedział, kto to taki. Ale niebawem się dowiedział, bo inaczej cóż byłby z niego za sznauca. Ale jak pamiętamy z Shakespeare’a, Otello bez Jagona byłby co najwyżej połową Otella, i to tą zdecydowanie lepszą.

Rolę Jagona odegrał pewien towarzysz z centrali. Przyjechał w dwóch misjach – oficjalnej i nieoficjalnej. Oficjalna to było jakieś nieistotne śledztwo. Nieoficjalna była misją, można powiedzieć, historyczną.

– Wiecie, ile dobrze przyniosłoby krajowi pozbycie się kędzierzawych? – zapytał w poufnej rozmowie. Tego Jaźwiec dokładnie nie wiedział. Przypomniał sobie jednak rozwiązłego pułkownika i zawarzał słusznym gniewem. Ale po chwili pomyślał o żonie i jego gniew stał się niby rozżarzona blacha, polana wiadrem wody.

– Ależ człowieku – perswadował stołeczny. – Nie możemy być tacy skromni, bo oni to wykorzystują. Kompetencje się znajdują. Ważne, by droga była wolna. Przecież chcecie awansować.

– Co mam robić?

– Musicie poprzeć nasze rozwiązanie.

– Takie jak tamto?

– Nie, dziś to niemożliwe. Ale też w miarę skuteczne. To co, zgoda?

Perspektywa szybkiego i spektakularnego awansu, chęć odzyskania pozycji w łóżku oraz wrodzony idiotyzm pchnęły go prosto do szamba. Początkowo było ciepło i miło. I swojsko. Nawet zapach był swojski. Ale do czasu. Poziom szamba zaczął się jednak podnosić. Zapach zrobił się nie do zniesienia, trzęsienia, wybuchy i inne kataklizmy stały się coraz częstsze. Tymczasem kompetencji nijakich odnaleźć w sobie nie potrafił, a mały, jak był mały, tak małym pozostał. Nie pomagały żadne seanse terapeutyczne, podczas których uczono go, by o małym myślał jak o wielkim. Nie pomagało, nawet gdy stanowczo przemawiał do niego przed każdą aktywnością seksualną: – Jesteś wielki jak chuj! – Mały jakby ogluchł. Znow wszystko sprowadzało się do łaskotania różnych zakamarków tajniakowej, która po wyjeździe kędzierzawego z rozpacz i tęsknoty nieustannie tyła.

Z czasem zrobiła się tak nieruchawa, że jakaś katastrofa zdawała się nieuchronna. Niestety, Jaźwiec, zapatrzony w małego, który stawał się coraz bardziej mały, zdawał się tego zupełnie nie dostrzegać”.

Któregoś dnia, pod wieczór, zadzwoniła dziennikarka z poczytnej gazety, w którą zawijano zakupy w większości sklepów na Lewym Brzegu. Należało mieć się na baczności, bo nie wydarzyło się jeszcze nic, poza rewoltą na Węgrzech, co spowodowałoby choćby minimalne skrócenie Lewego Brzegu w inną stronę. Przeciwnie. Pamięć roku, gdy w maju noszono na pobliskie barykady aperitify i piwo była w la Rive Gauche wciąż żywa.

„A Jazwec pił. Pił i bił. Im więcej pił, tym bardziej bił. Pił wódę i bił żonę oraz przesłuchiwaną. Wydawało mu się, że jego mały robi się coraz mniejszy, przesłuchiwanie coraz liczniejsi i bezczelniejsi, a jego żona coraz większa. Bił więc ich i ją, żeby sobie wszyscy razem nie myśleli. A oni przeciwnie – myśleli. Im więcej bił, tym więcej myśleli. Nawet tajniakowa. Choć możliwe, że ona najmniej, ale jednak. Wiedziała, że jak Jazwec odpina pasek, to najpierw będzie kupa śmiechu (głęboko ukrytego), a potem będzie bolało. I że lubi widok jej sutek z przypiętymi klamerkami do prania. Więc myślała. A jak ktoś myśli – powiada mongolskie przysłowie – to i wymyśli.

Obolali przesłuchiwanie wymyślili, że zasilą opozycję, która niemal od chwili narodzenia molestowana seksualnie, blada była i zrezygnowana. A tajniakowa wymyśliła, że się zemści. Jak? Tu był właśnie pies pogrzebany. Może nie całkiem pies, może piesek. Ale jednak. Bo myślenie tajniakowej było bardzo proste. Tego się od męża nauczyła. Bić tak, żeby bolało. Chociaż wielka, a nawet ogromna była, bicie ryja w jej wykonaniu, tudzież kopanie jazwcowego tyłka mocno problematycznym się zdawało. Skumała się więc ze zmolestowaną opozycją i dała się zerznąć tejże opozycji drobniutkiej na oczach Jazwca. Towarzysz J. był przekonany, że jedyny mały mniejszy od jego własnego, to właśnie mały opozycji. A tu taka niespodzianka. I to rzeczywiście bolało. O jak bolało. Gdy jego hipopotamia żona pod naporem drobnego ciała i maleńkiego członeczka wykonywała ewolucje, których nie powstydziliby się ani żadna koryncka, ani babilońska kurwa. Tak. To był prawdziwy ból”.

– A powiadają, że profetyczna funkcja literatury to już historia – wypowiedział się o mojej książce w TV brodaty profesor Sorbony, któremu owego pamiętnego roku młodzież przynosiła na barykadę różne rzeczy z pobliskiego bistra, a on wymyślał dla nich hasła typu: zabrania się zabraniać i takie tam.

– Czyli zdaniem pana szanownego robię tu za proroka, tak?

– To się dopiero okaże, bowiem pańskie seksualne, przyznajmy, nieco obsesyjne i erotomańskie skojarzenia odnoszą się do przyszłości, *ne c'est pas*¹⁴?

– A spa, spa – odpowiadam rozdrażniony. – Do przeszłości, terażniejszości i przyszłości *aussi*¹⁵. – Podsumowuję multilingualnie i z gracją.

Wieczorem dzwoni Afrodyta: – Wyjedź natychmiast.

14 Nieprawdaż?

15 Także.

- Ale dokąd?
- Na razie na Południe.
- Możesz mi powiedzieć, dlaczego?
- Nie przez telefon.
- Przyjadę.
- Nie, to ja przyjadę.

I przyjeżdża. Jest w długim płaszczu (ostatni krzyk mody), a pod nim ma na sobie coś podobnego do stroju tancerki z Crazy Horse Saloon. I wysokie buty do połowy uda na niebotycznym obcasie. Jak z Sacher-Masocha. Ale to kompletnie nie mój styl. A więc będziemy rozmawiać. Do późna. Książka sprzedaje się nieźle. Co miałem do powiedzenia, już powiedziałem (jej zdaniem), a teraz, przez jakiś czas, powinienem być niedostępny. To tylko jej rada, zrobię, co będę uważał za stosowne. Tu są klucze. I czek, gdyby na moim koncie nie było jeszcze wystarczającej kwoty, lub wydatki (konieczne) by ją przewyższały. Kierowca zna adres. Ona zostaje tutaj. Spakowałem się i zszedłem do samochodu. Zdziwionemu kierowcy kazałem jechać na Gare du Nord. Za godzinę miałem pociąg do Krakowa.

– O, pan Alojzy Ptyś wraca, jak miło – powiedział facet w cywilu, który towarzyszył żołnierzom kontrolującym paszporty w pociągu.

Mogłem się tego spodziewać. Był to mój pseudonim, pod jakim wydałem *La Pologne Décadente*. Jednak mnie nie zatrzymał. No cóż, nie będzie lekko. Ale czy kiedyś było? Nie będzie Corinne ani Elodie. Będzie jedynie nieskonsumowana Afrodyta, bardziej legenda, niż realna postać. Być może dojdą do tego jakieś wspomnieniowe apokryfy i buntownicza kryptologia. A potem ktoś, kogo nie znam, ktoś czyjej nogi nigdy nie przyciskano do stolika i po czyjego małego nigdy nie sięgała żadna ideologicznie wyuzdana ręka, ani żaden ideologicznie obwisły cyc nie wciskał się w bok, powie, że to miraż i fantasmagoria, bo tak być nie mogło. A jak mogło? Hm, jakoś zwyczajniej. Bo przecież wszystko na tym świecie jest zwyczajne i wyblakłe, jak moja pocerowana kołdra, którą się teraz, o czwartej rano, przykrywam, leżąc w wygniecionym łóżku w kącie kuchni (nie wszyscy pomieścili się w pokoju tej nory). Ponad doba w pociągu sprawia, że łóżko wraz ze mną nadal jedzie, jakby doczepione do składu pociągu. Choć przecież stoi przy swoim peronie przy ulicy Francuskiej w Katowicach, odległej od rue Mouffetard o całe lata świetlne. Czy ja tam w ogóle



byłem? A jednak. Jest dowód. Mam przecież notatki o Norwidzie, bilety z metra i inne drobiazgi. I byle jakie prezenty dla bliskich. Bo przecież nie mogą się domyśleć, że Alojzy Płyś to ja. W historii o Corinne, Elodie i domu przy rue Moufflard i tak by nie uwierzyli. Moje konto dostępne jest na hasło, tyle że tam, nie tu, ale wiem, że honorarium będzie dobrze inwestowane. Może kiedyś, któreś z moich dzieci, które nie wiem jeszcze z kim będę miał, zechce skorzystać. W kieszeni marynareczki, w której wyjechałem garść drobnych. A tymczasem jutro trzeba się będzie rozliczyć z Norwida i ze spóźnionego powrotu. Niepokojące jest, iż ktoś jednak wie o Alojzym Płyśiu. Chłodno pod tą pocerowaną kołdrą i wiem, że zimno w nogi jest rzeczywiście mnie, a nie żadnej wieży Eiffła, bo taka w moim mieście nie występuje. I oto wstaje świt. Lecz beze mnie. Ja śpię i obym spał jak najdłużej.

Ze snu wyrwano mnie w jakieś pół roku później. Najpierw ukazała się moja pracka, jak poloniści określają pseudonaukowe gnioty skromnych rozmiarów, która to skromność niewątpliwie zasługuje na pochwałę, zatytułowana „Norwid w Paryżu, Norwid w Europie”. Mogłem się spodziewać, iż nie wywoła ona zachwyty, bo ani Norwid (czas Kliszki już przeminął), ani Paryż, a tym bardziej Europa, nikogo w cichej i spokojnej Polsce wtedy nie zachwyciły. Przypuszczałem, że ten brak zachwyty objawi się raczej milczeniem, a tu taka niespodzianka. A nawet dwie. Pierwsza zgotowała mi Kazia z biblioteki wydziałowej. Gdy wszedłem rano by zajrzeć do Nowego Korbutta, wciągnęła mnie za regał i ze słowami:

– Ależ ty zbadałeś tego Norwida. – Dodała jeszcze: – Jesteś teraz sławny. Pierwszy z naszego wydziału. Dawaj go, zanim dorwą się do niego studentki. Chce być pierwsza. – I jednym zgrabnym ruchem rozpięła zamek moich spodni i sięgnęła po kompletnie zaskoczonego wacusia. Poczułem w sobie ducha ulicy Mouffetard, choć na krótko, bo ledwo poczułem gotowość, usłyszeliśmy skrzeczący głos profesora Ementalskiego: – Panno Kaziu, czy nadbitki mojego artykułu są gotowe?

– Tak, panie profesorze. Leżą na moim biurku. Proszę je zabrać.

– Ależ, tak nie można, moja droga. Nie mogę zacząć wykładu, jeśli nie zobaczę twojego słodkiego pyszczka.

– Przykro mi. Jestem zajęta. Układam prace magisterskie.

Cały ten dialog odbywał się w dość karkołomnych warunkach, albowiem panna Kazia dialogowała chwilami z moją żołądździą w ustach.

– No, chociaż na chwilę. – Nalegał stary satyr.

No nie. Kazia w żaden sposób pyszczka nie mogła mu pokazać. Ale coś w zamian – *pour quoi pas*¹⁶? – jak zapewne powiedziałyby Afrodyta. I Kazia tak uczyniła, wysuwając rewers dolnej części, moim zdaniem zdecydowanie lepszej, swego pulchnego ciała, niezbyt starannie ukrytej pod spódniczką mini i cieniutkimi rajstopami.

– Aaach!!! – Zaskowytał rozpustny staruch i pognał na swój nudny i na wpół odczytany z kartki wykład, którego wszystkie główne tezy już co najmniej od pół wieku powinny być w jakimś polonistycznym lamusie.

– Nie masz pojęcia, co on wyprawia, jak zaskoczy mnie na drabinie, kiedy porządkuję górne półki. Kiedyś zastał mnie w spodniach. Myślałam, że się rozplacze – mówiła Kazia, gdy już skończyliśmy i gdy umyła nad maleńką umywalką zęby. Higiena to jednak ważna rzecz. Mnie natomiast bardziej interesowały przyczyny sławy i chwały, która jej zdaniem mnie czekała już wkrótce.

– Masz! Czytaj, niedowiarku. – Rzuciła we mnie najświeższym numerem dziennika „Trybunał Ludowy”, gazety będącej jednocześnie tubą i kompasem. No i, nie da się ukryć, trybunałem.

Otóż był tam, wśród wielu innych, mówiących unisono, co zgodne i co słuszne, a co nie, artykuł profesora Tylżyckiego, w którym autor bił mnie i kopał, szczypał i dusił, kroił tępym nożem i obdzierał ze skóry zardzewiałą żyłką. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Akurat po nim niczego innego bym się nie spodziewał. Mocno przedatowany towiańczyk każący się malować pewnemu portreciście na tratwie miotanej falami po wzburzonym morzu, w towarzystwie cierpiących na chorobę morską, przynajmniej wnioskując z wyrazu twarzy, Mickiewicza, Dmowskiego i innych pomniejszych kapłanów narodowego ołtarza. Zaskakujące natomiast było, że jego artykuł ukazał się na łamach „Trybunału”. Widocznie zaistniała wyższa konieczność bądź złożono mu propozycję nie do odrzucenia. A może i jedno i drugie.



Im bardziej wgłębiałem się w tekst, tym bardziej rosło moje zdumienie. Nie elokwencją i erudycją autora, bo ta niezmiennie oscylowała pomiędzy repertuarem przedwojennego prowincjonalnego politykiera obozu narodowego a młodopolskim bełkotem bywalca krakowskiej kawiarni, który nieodmiennie chwali się tym, że znał kogoś, kto znał Wyspiańskiego. Zawile serdelki słowne i precle znaczeniowe nie robiły na mnie wrażenia. W osłupienie wprawiła mnie długość rąk owej damy, której robiąc na złość, sekretarka w konsulacie wysłała mnie do Afrodyty. Tak więc w akapicie zatytułowanym „Wszystkie światła na autora” można było przeczytać:

„Ten młody człowiek wysłany za granicę za nasze pieniądze, posiadający nasz kredyt zaufania, niemal od pierwszych godzin swego pobytu zachowywał się niegodnie. Nie tylko skumał się z najbardziej wynarodowionymi i kosmopolitycznymi kręgami pseudoemigracji, ale także stał się bardzo szybko utrzymankiem jednej z cieszących się najgorszą reputacją paryskich kurtyzan. W jej domu w Malmaison, znanym z dzikich seksualnych i narkotycznych orgii schodzą się najbardziej podejrzane typy tamtejszego półświatka, by w narkotykowej malignie kupczyć Ojczyznę i wszystkimi jej wartościami. Pseudoartyści spotykają się tam z agentami wywiadu i policji oraz gangsterami udającymi mecenasów sztuki i wydawców. To wszystko odbywa się w aurze zakazanych praktyk seksualnych, z pederastią i lesbianizmem włącznie. Pytanie o to, czy po takie nauki powinniśmy wysyłać naszych stypendystów, pozostawiam bez odpowiedzi, albowiem znana jest ona każdemu prawdziwemu Polakowi i jest dla niego oczywista.

W świetle tych faktów oraz tego, co powiedziano wcześniej o „dziele” młodego pseudonaukowca i pseudohumanisty można rozpaczać nad upadkiem nauki i moralności w naszym kraju. Jednakże bierna rozpacz to stanowczo zbyt mało, by usatysfakcjonować patriotę. Bo jakby tego, co już tu powiedziano, nie było dosyć, ów degenerat (ten młody człowiek doprawdy na inne określenie nie zasługuje) odważył się opublikować w paryskim wydawnictwie, znanym z wrogiego nastawienia do wszelkich budujących wartości ohydny paszkwil. W tym śmieciu udającym utwór literacki zelżył i zozydził pierwsze lata odradzającej się Ojczyzny i znieважаł ludzi znacznie lepszych niż on sam. Jestem gotów pójść o każdy zakład, iż Alojzy Płyś, autor przedstawiający pierwsze lata wolnej Polski jako pasmo seksualnych zwyrodnień i nadużyć oraz autor pracy o Nor-

widzie to jedna i ta sama osoba. Dlatego wzywam odpowiednie władze do zajęcia się tą sprawą w imieniu wszystkich, dla których Ojczyzna jest pojęciem nadrzędnym. Odrzućmy animozje i uprzedzenia. Nie pozwólmy babrać narodowej flagi w paryskim rynsztoku”.

No, to było mocne. Zwłaszcza dla człowieka podejrzewającego, iż życie może być pasmem szybkich i ekscytujących numerków. Od tej chwili sprawy potoczyły się szybko. Zarówno w dziedzinie ofert, czasem pełnych samozaparacia ze strony ideowych okularnic w naciągniętych swetrach i spódnicach trzy czwarte, które chyba ubzdurały sobie, że jestem bojownikiem o jakąś sprawę i męczennikiem in spe oraz wezwania do bezpieczki. Z pierwszych, wyznaję z niejakim wstydem, czasem korzystałem. Tym bardziej iż bywało, gdy oferentka pozbyła się spódnicy i swetra, a na koniec okularów, że okazywało się, iż pod tym jakże mylącym przebraniem ukryta jest prawdziwa pantera i nienasycona wyznawczyni kultu Afrodyty.

Jeśli chodzi o wezwania, nie sposób było oprzeć się im. Krzyczano, grożono, pytano, straszono, szantażowano, zamykano w pokoju na długie godziny, ale jakoś nie aresztowano. Broń Boże, żebym żałował. Było to jednak deprymujące i nużące. Jedyną sensowną rekompensatą wydawała mi się wówczas przejażdżka łodzią miłości. Któregoś jednak dnia przesłuchanie całkowicie odbiegło od sztampy. Od biurka wstał uśmiechnięty starszy pan:

– Pułkownik Jaźwiec jestem. – Przedstawił się z uśmiechem.

Krew odpłynęła mi w pięty. Mordobicie, oto co mnie teraz czeka. Ale to się zwykłym mordobiciem nie skończy. Nie dam się zwieść uśmiechowi starego psa.

– Mam wielki dług wobec pana. Ale proszę, niech pan siada. Porozmawiajmy.

Już miałem na końcu języka, że to zwykły zbieg okoliczności, że kompletnie nie jest mi znane ani jego życie zawodowe, ani prywatne, a już tym bardziej seksualne.

– Dzięki panu jestem bohaterem literackim. Pan nawet nie zdaje sobie sprawy, co to znaczy. – Nie dopuszczał mnie do głosu. – To nie chodzi o żadną tam nieśmiertelność, czy inne tego rodzaju bzdury. Idzie, proszę pana, o to, że kobiety tu i teraz patrzą teraz na mnie zupełnie inaczej. A poza tym – mrugnął do mnie – coraz popularniejsze jest hasło: małe jest piękne.



– Ależ nie wiem, czy czyjekolwiek życie zmieniło się choćby odrobinę pod wpływem jakiegokolwiek dzieła literackiego, no może z wyjątkiem Biblii, choć ten akurat przykład pewnie pana nie przekona....

– Niech pan nie będzie taki skromny. Naprawdę jest, jak powiedziałem. A teraz do rzeczy. Nikt tu nie ma na pana koncepcji. Będą tak pana ciągać całymi latami i nic z tego nie wyniknie. A mnie pewna rzecz przyszła do głowy. Wiem, wiem. Pan na żadną współpracę nie pójdzie. I ja to nawet szanuję. Chodzi o coś zupełnie innego. Pan napisze esej.

– Ale przecież nikt go nie opublikuje. Pana kolega mi powiedział, że jest na mnie ścisły zapis.

– Niechżeś pan nie żartuje. Opublikują go ci, którzy uważać będą, iż na to zasługuje. Cenzura nie będzie ingerować i to będzie jedyna nasza ingerencja. Powiedzmy: moja ingerencja. To będzie coś w rodzaju spłaty długu. – Spłata długu? Na miłość boską, trzymajcie mnie.

– A jaki miałby być temat tego eseju? – zapytałem pełen najgorszych przeczuc.

– E, tam. Nic wielkiego. Z czym się panu kojarzył artykuł profesora Tylżyckiego? Czy aby nie z donosem, drogi panie? – No cóż, trudno było zaprzeczyć, że to był donos. Donos jak cholera. Zwykły, ordynarny donos.

– Chodzi o to, by opisał pan donos jako gatunek literacki, niezwykle w Polsce popularny. Wie pan, nie tyle po co się to pisze, ale jak się pisze. Jakich środków użyć, by uzyskać oczekiwany efekt, a przy okazji nie donieść na samego siebie. Dla zdolnego eseisty to gratka, nieprawdaż? Gratka. Pewnie, że gratka. Tym bardziej że pomoc przy zbieraniu materiałów zadeklarowała studentka roku dyplomowego, Inga Wysoka. Nomen omen zresztą. Na koszykarkę była zbyt niska, ale dla mnie 182 centymetry, to było jednak coś. Ilekroć wchodziłem w nią od tyłu, musiałem ją prosić, by szeroko rozsuwała nogi, gdyż inaczej mój pręcik dyndał smętnie o wiele poniżej jej szparki. Gdy brałem ją na stojąco, mogłem liczyć na swoje palce (u nóg) i w ogóle trochę się ponaciągać. W ten sposób osiągałem cel, ale jeśli Inga chciała być dla mnie niedobra, leciutko zwierała uda, unosiła pupę i cześć. Czubek mojego wacusia dotykał bram rajy i dowiadywał się, że tam jest wilgotno i gorąco, i tyle.

Przynosiła mi z biblioteki roczniki gazet z polemicznymi artykułami w stylu tego, który mnie sponiewierał. Różnymi kolorami zaznaczała uwagi merytoryczne, uprawnione i nieuprawnione epitetami i wreszcie

wycieczki osobiste. Otrzymałem też tajemniczą przesyłkę, w której znajdowało się kilkadziesiąt przykładów typowych donosów pisanych do różnych urzędów. Już po krótkim czasie doszedłem do wniosku, iż nie trzeba być profesorem wyższej uczelni, by być w dziedzinie donosu artystą. Artysta, na zasadzie iskry bożej, stosował się do wszystkich reguł, nie mając o tym zielonego pojęcia. Filozofów zabijała nadmierna dbałość o te reguły. Często ich donosy, nawet te zamieszczane w najpoważniejszych czasopismach, nie nadawały się w ogóle do czytania.

– Biorąc pod uwagę nekrofilskie skłonności autora oraz jego trockistowsko-nacjonalistyczne odchylenie dominujące we wszystkich dziedzinach jego intelektualnej działalności – czytaliśmy w artykule rozpolemizowanego filozofa – nie możemy uniknąć konkluzji, iż jego problemy ontologiczne transponują się bezpośrednio do jego koncepcji postrzegania i opisywanie dookolnej rzeczywistości. – Jakiś kurewski bełkot, który ni cholery nie przekonałby mnie, że faceta należy wyrzucić z partii, a jego dzieła przeznaczyć na przemiał, gdybym nawet takimi sprawami się zajmował. Zresztą po co, skoro w tekście określano je jako miałkie.

Zupełnie inny styl prezentował kierowca z autobusowej zajezdni w Biłgoraju.

Żona obywatela S. z tego niezaspokojenia hormonalnego narzuca się sąsiadom płci męskiej, zwłaszcza w godzinach wieczornych. Obywatel S. lekceważy to zupełnie, czyli po naszymu ma to gdzieś. Pędzi wraz ze swym kompanem C. w piwnicy i pędząc tam, dopuszcza się wybryków z innymi kobietami, które przychodzą wypić to, co upędzone. Uciążliwa jest zwłaszcza jedna z nich, niejaka B., która wykrzykuje potem na klatce schodowej, że już ma mokro w majtkach i ci, co czują się mężczyzną, mogą do niej wyjść, to będzie im lepiej niż ze ślubną. Ale najgorsze jest to, że upodobała sobie ministrantów idących na roraty. Po ciemku wciąga ich i edukuje, a rodzice, w tym także i ja, jesteśmy zrozpaczeni. Prosi się odnośnie władze o podjęcie kroków, by tacy jak S. i C. nie pędzili, a niejaka B. nie edukowała. Ja wiem, że ministranci ideologicznie są nie bardzo, ale ci, co pędzą i te, co edukują, są jeszcze bardziej nie bardzo.

Jeśli to nie był kawał prowincjonalnego życia przekutego w nieporadną, ale jednak prozę, to ja nie wiem, co to było. W każdym razie to się czytało. Zakończyłem mój esej, który w pewnej redakcji potraktowano,



jako bardzo błyskotliwą i palącą satyrę, postulatem: jeśli znamy reguły, to pięknie, ale stosujemy je z lekkością Wiener Philharmoniker grających walca wiedeńskiego, a nie pruskiej orkiestry wojskowej grającej pruskiego marsza. Bo gdy marsza zagrają WPh, wszyscy mają ochotę zatańczyć, a gdy pruska orkiestra zagra walca, to można jedynie rozpocząć *paradeschritt*¹⁷. Naczelnym był zdziwiony, że cenzura nie usunęła ani linijki i nie zareagowała nawet na moje nazwisko. Ogólnie zrobiło się bosko. Nawet ktoś przywiózł mi małą karteczkę z Paryża z dwoma słowami tylko: mes félicitations¹⁸, podpisaną inicjałem A.

Być może powinienem to traktować jako zapowiedź, choć nie miałem wówczas pojęcia czego. Jakoś tak w tym samym czasie odkryłem, że moja olbrzymka jest nieznośna. Być może zbyt często unosiła pupę, gdy ja byłem już bliski spełnienia. Pomyślałem sobie, że takie życie w niepewności i w ciągłym stresie do niczego dobrego nie prowadzi. Ponadto wcale nie byłem pewien, czy mój przypadkowy bohater literacki, pułkownik Jaźwiec, nie wykręci mi jakiegoś numeru i nie zachęci kogoś do napisania polemicznego donosu na mnie według odkrytych przeze mnie dopiero co reguł. Uświadomiłem sobie, że tak właściwie to przecież on mi nie powiedział, po co mu ta cała heca z moim esejem. Kto wie, czy nie napisałem właśnie podręcznika dla jakichś ubeckich prowokatorów.

Wiatr pędził ołowiane chmury nad moją norą przy ulicy Francuskiej, a chmury, jak na mój gust, dawały się pędzić na zbyt niskim pułapie. Rozstałem się z Ingą i uczyniłem to bez żalu. Pozostali lokatorzy na moment odetchnęli. Następnie przygarnąłem opuszczoną przez pewnego adiunkta z historii pracownicę pobliskiej księgarni. Nie zabawiła jednak u mnie długo. Irytowały ją moje upodobania do egzotyki, z którymi kłócił się jej wydepilowany wzgórek łonowy, oraz brak perspektyw wynikający jakoby z mojej bierności. Tymczasem ja usychałem z tęsknoty za paryskim tercetem, a w szczególności za Afrodytką, o której zacząłem pisywać grafomańskie wiersze i publikowałem je dla pieniędzy w lokalnej prasie i w lokalnych wydawnictwach. Albowiem lokalna prasa i lokalne wydawnictwa zniosą wszystko z wyjątkiem literatury. Książeczki ukazywały się ozdobione obrzydliwymi rysunkami autorstwa rodzimych

17 Krok defiladowy.

18 Moje gratulacje.

pornografów. W ten sposób zyskałem sobie opinię miejscowego świntucha, co sprawiało, iż w mojej norze panował ruch, jak na dworcowym peronie w porze dojazdów do pracy. Nie czyniło mnie to jednak ani trochę szczęśliwszym. Chwilami było mi wręcz wstyd, bo wyobrażałem sobie, co na to wszystko, a zwłaszcza na ten brak finezji, spowodowany masowością, choć jakiś kretyn twierdził ponoć, że prędzej czy później ilość musi przejść w jakość, powiedziałyby moje gracje, a nade wszystko Afrodyta. Najbardziej przygnębiające było to, że tak jak w sklepach królował żółty ser, ocet i margaryna, tak w życiu sypialnianym, pomijając już pupy udekorowane niemal jednakowymi majtkami, podaż atrakcji była równie uboga i monotonna. Oczywiście, zdarzały się wyjątki, tak jak wśród zwykłych sklepów Pewex, ale i one nie były najwyższej jakości. *La Pologne décadente?* Można umrzeć ze śmiechu. Polski niewiele, a dekadencji jeszcze mniej. Niebo koloru ołowiu wydawało się coraz niżej, niczym na rycinie jakiegoś Gustwa Doré, który ocknął się z bólem głowy nad kuflem zwietrzałego piwa na prowincjonalnej stacyjce, której nazwa zaczynała się na literę p.

– Bierzcie do ręki. – Zachęcała prasa młodzieżowa rozbuchane hormonalnie licealistki. – Tak jest bezpieczniej. Pod każdym względem. – Chciało mi się wyć. – Bierzcie we wszystko, w co tylko możecie – odpowiedziały Afrodyta. Co na to profesor Ementalski? Zapewne wzorem profesora Tylżyckiego stanąłby pod drabiną i patrzyłby, i patrzył. A gdyby na niej była Afrodytka, nie byłoby siły, która by go spod tej drabiny wyciągnęła. Nie było by siły ani narodowej, ani morskiej, ani kolonialnej, ani żadnej innej. Poszedłby w diabły zdrowy kręgosłup moralny narodu, morskie wyprawy donikąd i po nic. I po raz kolejny nie udałoby się utworzyć Polskiego Kacykatu gdzieś w sercu Afryki, w jakiejś Namibii czy gdzieś. A profesor trwałby na swoim posterunku aż po kres swoich dni, ku rozpacz i niemej (a może nie niemej) wściekłości owej hrabiny z Paryża, której mała A. tak boleśnie nadepnęła na odcisk, że pani hrabina zmusiła profesora do współpracy z „Trybunałem”. Czegóż się nie robi dla słodkiej zemsty. Wyobraźmy sobie, że hrabina zaczyna kołysać drabiną, by zmusić A. do opuszczenia jej posterunku. Ale nic z tego. Drabina się kołysze, Afrodyta trwa. Ostatecznie nie tylko hrabina ma prawo do wytrwałości. Wreszcie następuje dramat. Afrodyta spada, robiąc szpagat, by zamortyzować impet i ląduje profesorowi na głowie. Sama wychodzi bez szwanku.



Z takimi nogami i takim rozkrokiem? Nie mogło być inaczej. A profesor? No, niestety. Niestety. Przykro mi. Uroczystości żałobne i temu podobne za kilka dni w miejscu znanym osobom wtajemniczonym.

Takem sobie marzył czasami przed zaśnięciem w mojej zatłoczonej norze na niewygodnym łóżku, w kraju o niewygodnym ustroju. I postanawiałem wtedy, że uczynię wszystko z wyjątkiem sprzedania własnej siostry do arabskiego zamtuza, by znów wyjechać, choćby na kilka dni do Paryża. To nic, że Afrodyta zapewne będzie już odmieniona. Być może upłynie tyle czasu, że stanie się starą kłepą z zarosłym pajęczyną tunelem miłości. To nic, że być może kupi willę na południu Francji położoną w sąsiedztwie kościoła, do którego dreptać będzie co rano, przejrzawszy przedtem swą biżuterię, której źródłem byli jej rozliczni kochankowie, a moje imię rozplynie się zupełnie we mgłę jej starczej niepamięci. To wszystko bez znaczenia. Nawet to, że jej ciało, grzeszne jak sam Paryż nocą, nie odpowie już ani na moje, ani na niczyje wezwanie. Ważne jest to, że wraz ze swymi przyjaciółkami stworzyła obraz nie tyle kobiety, ile kobiecości, który jak matryca pozostanie już na zawsze pod moimi powiekami. Obraz niezniszczalny i nieusuwalny, a być może także niemoralny. Jednakże tworzyła go jakaś pierwotna, zwierzęca siła, starsza niż moralność, starsza niż wszyscy pogańscy bogowie. Ta siła zdecydowała przed bilionami, czy nawet trylionami lat, że plus poszukiwać zaczął minusa, a minus plusa, światło stało się kontrastem cienia, a dopiero po długim, długim czasie dobro nauczyło się rozpoznawać zło i trzymając się czasem podejrzanie blisko, jakby bez siebie nie mogły istnieć.

Więc nie przejmuj się pan, profesorze. Siedź pan pod tą swoją drabiną i odkrywaj pan nową perspektywę. Już nic lepszego pana w życiu nie spotka, niż widok kroku panny Kazi. To takie inspirujące. Niechcesz pan weźmie przykład z pułkownika Jaźwca, choć to kanalia i w gruncie rzeczy prymityw, i niech się pan odda marzeniom, choćby najbardziej wszetecznym. Może mi pan nie wierzyć, ale tak byłoby lepiej. A ja? Mnie tu już właściwie nie ma. Wyruszyłem w drogę powrotną do moich trzech gracji. Doszedłem do wniosku, że moje życie bez nich pozbawione jest sensu. Wiem, że to trudne. Czasem niemożliwy jest powrót do jednej kobiety. A ja wracam do trzech. To dopiero historia, niby z jakiejś sprośnej średniowiecznej opowieści. Rycerz powraca do swych trzech dam, z którymi

baraszkuje na ogromnym łożu wśród różanego kwiecia. A wokół zamku wieczna wiosna. I z oddali słyhać śpiew pasterek. Saracenka niewolnica z odsłoniętym piersiami, co ją rycerz był przywiózł z ostatniej wyprawy krzyżowej, przynosi dzban najprzedniejszego wina.

I tylko daleko na północy, w ponurym kraju, będącym ojczyzną rycerza, ołowiane niebo wydaje się być jeszcze niżej, dotykać wieżyc miast i kościołów, wspierać się na przydrożnych drzewach. Trzy gracje plus wino, nie wspominając o niewolnicy, przynoszą zapomnienie. A jednak czasem w środku nocy rycerz budzi się z krzykiem, z przerażeniem w oczach i ze zjezonym włosem. Gracje, pasterki i niewolnica myślą, że to wspomnienia okropności przebytej krucjaty nie dają mu spać. A tymczasem guzik prawda. Bo to żadna tam Jerozolima wyzwolona, żaden splądrowany saraceński gród, gdzie krew płynęła rynsztokami, a zdobywcy potykali się o odcięte członki, tylko sen o ojczystym kraju na Północy.

Rozdział 2.

Seminarium morderców

Ach, te wyjazdowe spotkania w atrakcyjnych, nawet i po sezonie, miejscowościach. Nic nie mogło się z nimi równać. Zgadywanie, czyja to grzywka lub koński ogon wyłania się obok nas spod kołdry o chłodnym październikowym lub listopadowym poranku, przewyższało bezapelacyjnie dreszcz towarzyszący rosyjskiej rulecie. Odnosiło się to zwłaszcza do przegranych. Tu wszakże przegranych nie było. Nawet Eustachy Śpiołek, gamoniowaty i cokolwiek myszowaty asystent jednej z prowincjonalnych uczelni niemal na każdym z takich spotkań zdołał zaciągnąć kogoś do swojego pokoju na wprost schodów. Swoją drogą zabawne, że gdzie nie odbywałoby się spotkanie naszego międzyuczelnianego panelu, Śpiołek zawsze otrzymywał pokój na wprost schodów. Widać panienki z recepcji uważały, że w jego przypadku dyskrecja wejść i wyjść jest zbytecznym luksusem.

Ale dosyć o Śpiołku, bo nie o niego tu idzie. Ani nie o mnie. Nawet nie o to, że perspektywa takiej wyjazdowej rżniętki wszystkich nas, bez względu na płeć, przez kilka miesięcy nielecho podniecała. Zapewne także